№ 41. 9. Października 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Grób królewski.

Ossjach, w sierpniu.

Melancholijnie zdaje się drzemać przyroda nad spokojnem jeziorem Ossjach, zasłoniętem i zacienionem od północy i południa ścianami gór wysokich. W cieniu drzew rozrzuconych nad brzegami jeziora i stoków skał, drzemią również w rozproszeniu nieliczne domki, a wokoło rzadko gdzie spotkasz twarz ludzką. Smętny krajobraz zalega cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie gwizdaniem i hukiem pociągu kolejowego, pędzącego wzdłuż pobrzeża północnego na szlaku Teldkirchen-Villach. Góry nad jeziorem, tudzież obwodowe zarysy jeziora noszą na sobie widoczne ślady wielkich przewrotów. W kronikach kraju zapisaną jest wielka katastrofa z wieku XIV, mianowicie okropne trzęsienie ziemi, podczas którego osuwały się góry w jezioro i znikały osady, zapadając wgłąb ziemi. Pewna groza przyrody przebija z melancholijnego tła krajobrazu i nadaje mu koloryt ponury. Od osuwania się gór jezioro i wioska na południowym jego brzegu, gdzie niegdyś znajdowało się możne i słynne opactwo benedyktynów, otrzymały swe nazwy. „Jezioro ossojskie“ i „Ossoje“, tak do dziś dnia słoweński lud Karyntji zowie te miejscowości.

Z możnego opactwa benedyktynów, sięgającego początkami swemi w wiek VI, pozostała obecnie tylko ruina, mianowicie część zabudowania klasztornego, obróconego po zniesieniu klasztoru przez cesarza Józefa II na «stajnię rządową». Obok tego zabudowania wznosi się skromny a starożytny kościół, słynący obecnie tylko z mogiły polskiego króla Bolesława Śmiałego, który, błąkając się jako banita po zamordowaniu św. Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego, zakołatał do furt klasztoru, znalazł tu przytułek, miejsce pokuty i w końcu grób. Legenda miejscowa głosi, że król-banita żył w tem zaciszu klasztornem lat ośm czy dziewięć, jako głuchoniemy posługacz kuchenny, kiedy zaś ciężka choroba powaliła go na łoże śmiertelne, otworzyły się mu nareszcie usta i przywołanemu opatowi uczynił wyznanie kim jest, na stwierdzenie zaś prawdy słów swoich wręczył mu sygnet królewski, który nosił na sznurku u szyi, listy i inne dowody.

Po zgonie pogrzebano go okazale i uroczyście na cmentarzu w pobliżu kościoła; kiedy zaś w wieku XV powiększono kościół, grób królewski znalazł się pod nowym murem głównym, w miejscu, zaznaczonem wewnątrz kościoła płytą grobową z napisem: „*Boleslaw Rex Poloniae*“; zewnątrz zaś wmurowano płytę z białego marmuru, z płaskorzeźbą osiodłanego konia bez jeźdzca, nad krórą zawieszono obraz malowany na drzewie, przedstawiający w środku wizerunek króla, a wokoło, w sześciu mniejszych obrazkach, sceny z jego życia; pod obrazem umieszczono napis łaciński: „*Occidit, Romane pergit placet Ossiach illi, ignotus servit, votes pia lumina claudit. Ossiach hinc tibi placet Stanislaus tyrannum, mitem quod factum caelestibus intulit astris*“.

Grób królewski pozostawał w ogromnem zaniedbaniu i opuszczeniu, lubo od czasu do czasu w drugiej połowie XVIII i na początku XIX wieku zwiedzali go kolejno niektórzy polscy magnaci. Dopiero w r. 1839 należną cześć prochom króla oddała cudzoziemka, Izabela hr. Goess, żona dawnego namiestnika Galicji tegoż nazwiska, gdy przypadkowo w podróży z Wenecji do Wiednia wstąpiła do Ossjachu. Zajęła się ona restauracją grobu, której też, po zebraniu odpowiedniego funduszu w drodze składek pomiędzy galicyjską szlachtą, w powyżej wymienionym roku dokonała. Stary obraz na drzewie poleciła wiernie przekopjować wiedeńskiemu malarzowi Jobstowi. Przy restauracji otworzono grób. Znaleziono w nim nadpsute kości mężczyzny silnej budowy, kilka gwoździ żelaznych, z pierwotnej, jak się zdaje, drewnianej trumny, i spinkę miedzianą, ze śladami pozłoty, służącej do spinania szaty pustelniczej pod szyją. Spinki tej nie włożono do grobu, lecz dano miejscowemu proboszczowi do przechowania; obecnie znajduje się ona w depozycie w skarbcu katedry na Wawelu. Dawną grobową płytę wmurowano pionowo w zewnętrznej ścianie kościoła, nad nią zawieszoną wspomnianą kopję dawnego obrazu i dano przed grobem żelazne sztachety z napisem w mosiężnych

zgłoskach: „*Sarmatis Peregrinantibus salus*". Drugiej (względnie trzeciej) restauracji grobu królewskiego dokonano staraniem p. Stefana Buszczyńskiego w r. 1834. Obraz został przemalowany w Krakowie przez J. F. Daniszewskiego, żelazne sztachety od góry pozłocono, równie jak i napis znajdujący się na nich powyżej wspomniany. Obecnie przedstawia się grób króla-pokutnika wprawdzie skromnie lecz porządnie; zawdzięczać to głównie należy obecnemu miejscowemu proboszczowi, księdzu Krainzowi, otaczającemu pamiątkę starannością pobożną.

Wszystkie książki historyczne o Karyntji i główne przewodniki zawierają opisy lub wzmianki o pobycie i śmierci Bolesława Śmiałego w klasztorze benedyktynów w Ossjachu, lubo ścisłych na to dowodów historycznych nie ma. Wspominany w legendzie i księgach klasztornych sygnet któłewski zginął. Wedle jednych, został on skradziony, wedle innych — wymieniony na falsyfikat, który również zaginął po kasacie klasztoru. Można atoli uważać jako dowód to, co o pobycie króla Bolesława II zawierają cztery stare kroniki karyntyjskie, mianowicie: „*Annales Ozziasenses*", pisane przez ossjachskiego opata benedyktynów Gröblachera Zacharjasza w r. 1588, „*Annus Milesimus*" opata Iblbachera, „Historja Karyntji" barona Valvasora i „Kronika" jezuity Megisera z XVII wieku. Najważniejszem źródłem dziejowem z przytoczonych są, naturalnie, annale opata Gröblachera, pisane na podstawie starych dokumentów archiwum klasztornego, które zaginęło. Annale te zawierają następującą wzmiankę:

„*1072 Teuzzo (Teucho) Abbas prefuit*".

„*1084 Hoc anno Boleslaus, rex poloniae relinquit regnum suum hic 8-i annis poenitentia actu moritur*".

Wszystkie monografje Karyntji i źródła historyczne, pospołu z legendą miejscową zgadzają się w tem, iż Bolesław Śmiały przybył do Ossjachu za opactwa wspomnianego Teuzzo czyli Teucho, ale prawie każde źródło podaje inne chronologiczne daty, dotyczące jego pobytu i śmierci. Wedle jednych, miał król przebywać w klasztorze trzy, wedle innych — cztery, pięć, sześć, siedm, ośm i dziewięć lat, data zaś jego śmierci oznaczoną jest na lata: 1082, 1084, 1087, 1097 i 1099. Panuje w tej chronologji ogromne, niepodobne do rozwikłania bałamuctwo, i to właśnie naprowadza niektórych naszych dziejopisów, jak Naruszewicza, oraz historyków obcych na powątpiewania, czy wogóle Bolesław Śmiały przebywał i zmarł w Ossjachu. Wczytawszy się jednak w wymienione źródła dziejowe, tudzież w księdze klasztornej, przechowywanej w Ossjachu a noszącej napis. „*Liber Memorabilium*", trzeba przyjść do przeświadczenia, iż formalna sprzeczność dat chronologicznych nie jest w istocie rzeczy żadnym argumentem przeciwko prawdziwości ossjachskiej historji króla Bolesława II. pochodzi zaś ona głównie z tej okoliczności, iż opatów Teuzzo czyli Teucho było dwóch, opat zaś Teucho II nastąpił po opacie Teucho I w lat mniej więcej dziesięć. Tym sposobem rozmaici dziejopisowie karyntyjscy, mając przed oczyma podanie, iż Bolesław Smiały przybył do Ossjachu „za opactwa Teucha", mieszają Teucha I z Teuchem II i z tego powodu podają odmienne daty przybycia i śmierci króla-banity. Rzecz ta daje się dziś źródłowo udowodnić.

G. Smólski. (*Z Kraju.*)

GRENIA.

Ze wspomnień noworocznych wędrowca.

Smutno mi było!

Dlaczego smutno? — mniemam, i nie spytacie nawet, wszak tyle smutków na świecie spotykać można codziennie, na kroku każdym, ach tak, na nim więcej łez, niż uśmiechów.

I to naturalne, proste, jasne jak słońce. wielkie, jak prawda.

Miałem lat szesnaście, byłem młody, pełen życia i ognia; w żyłach płynęła mi krew gorąca, paliła się głowa, serce biło gwałtownie.

Trzeba było to wszystko ochłodzić, obłożyć lodem, skrystalizować w rozum.

Ochłodzono, zaaplikowano lody i śniegi, a dzięki temu, zdobyłem rozum, wprawdzie wraz z łysiną na czaszce i zmarszczkami na obliczu, ale zawsze zdobyłem go i odtąd, jak go posiadam, nie jest mi ani smutno, ani wesoło nigdy.

Smutno mi było wówczas.

Śród morza śniegu, szedłem w towarzystwie dwustu kobiet.

Naokoło mnie śnieg, nademną ołowiane niebo, pod stopami ziemia bez życia.

W oczy bił wiatr... ten dziwny, północny, przepełniony atomami mrozu i wytwarzający rumieńce, na twarzach tych, którzy nawet rumienić się nie umieją.

Cały nasz tabor, wśród pustyni śniegu wyglądał jak jedno ciało zdaleka, poruszające się w jasności par śniegowych.

Szliśmy krokami równemi, odaleni od siebie o parę cali, i w tem położeniu, iż gdy się ruszył ktokolwiek, poruszyć się musieli i wszyscy jego towarzysze z szeregu.

Było to 1-go Stycznia 1853 roku.

Powiedziałem już wam, że szedłem smutny, w towarzystwie dwustu kobiet, ja jeden mężczyzna...

Towarzyszki moje wszystkie — były kryminalistkami, skazanemi na osiedlenie.

Tuż obok mnie postępowała młoda, urocza dziewczyna, o czarnych, jak heban włosach, oczach błyszczących, jak dwa węgle, patrzących smutnie gdzieś daleko... w przestrzenie.

Na twarzy jej malował się dziwny jakiś spokój, a nawet bardzo baczny spostrzegasz odnaleźć w niej nie był zdolny tego wyrazu, jakim zwykle twarz ludzką piętnuje zbrodnia.

Grenia była smutną, równie jak ja; często, bardzo często zwracała ku mnie swe czarne, żarzące oczy.

Czułem, że mnie ten wzrok rozgrzewał, że pod jego tchnieniem rozpływały się i powiewy mroźne, i lody pod stopami, i śnieg wokoło,

Szliśmy tak długo, bardzo długo!...

Zamieć śniegowa w jednej miejscowości zmusiła nas dłużej nieco czekać.

Wszystkie towarzyszki moje — ach! przebycia z niemi tej długiej drogi opowiadać wam nie będę — bo było męczarnią, że się tak wyrażę, kipiały w naturze swojej; w izbie obszernej, w której na postoju znaleźliśmy się wszyscy, zapanował krzyk i hałas nie do wypowiedzenia istny bazar jarmarczny.

Krzyki, kłótnie, harmider, wymyślania najbrutalniejszemi wyrazami, mieszały się z dzikim jakimś wrzaskiem, podobnym raczej do wycia wilków, niż do krzyków ludzkich.

Jedna tylko ona, sama usiadła w kąciku, tuż przy mnie, i duże swoje oczy wpiła w moje oblicze.

— Tyś kogo zabił? — spytała jakimś dziwnie pięknym a rzewnym głosem.

— Nikogo! siebie tylko!

— I... po cóż idziesz z nami?

— Tak wypadło — odrzekłem smutnie. — A ty, nieszczęsna?

— Och! ja zabiłam, zabiłam potwora, dziką bestję, co znęcała się nademną; zabiłam słusznie, ale i słusznie ukarano mnie za to...

I nie czekając dalej, bez prośby mojej, bez zapytania, poczęła opowiadać dzieje swej zbrodni, tym prostym językiem, który kłamać nie umie, i nic nie obwija w bawełnę.

Co chwila wybuchała gwałtowniej, a gdy doszła do chwili samego czynu, widziałem na jej twarzy tę rozpacz, a zarazem i tę wściekłość, która szpeci i która zachwyca.

Opowiadanie to krótkie; powtórzę wam, chociaż nie zdołam tego uczynić tak prosto, jak ona. Grenia, dziewczyna z ludu, który, wiadomo, posiada swoj własny język, i po swojemu wrażenia tłómaczy.

„Byłam poddanką u pani bogatej; tak bogatej, że o jej groszach i dukatach pojęcia mieć nie możesz.

Lało się tam wszystko: i złoto, i wino, a materje drogie, jakby ścierki jakie, pokrywały podłogę.

Pani była bogata, i dusz miała wiele; nie mógł ich zliczyć pisarz, co pisać umiał, i za to pieniądz brał dobry.

Ja byłam jedną z tych dusz pańskich; spostrzeżono mnie w kurnej chatynce i oddano na służbę, jak był zwyczaj, do dworu.

Obrócono mnie do pokoju, potem pani wzięła do garderoby.

Tu straszno było; tak strasznо, iż nigdzie ludzie nie słyszeli o takiem życiu, a gdy mówiłam sądowi, śmieli się ze mnie sędziowie, i powiadali, że sprytniejszego rozbójnika nademnie nie spotykali nigdy.

Pani ubierała się co rano. Ubieranie to było długie, a do sukni potrzeba było mnóstwa szpilek.

Na stole, gdzie leżały maście i pomady, na nieszczęście brakło małej poduszeczki do szpilek, potrzebnych na wezwanie każde, do przypięcia fałdów sukni.

Pani zapominała kazać kupić tej poduszki, chociaż mi często obiecywała to uczynić, a tymczasem, w braku jej, za miejsce umieszczenia tych kolących szpilek, służyły moje plecy, moje ręce i moje piersi.

Rozbierając ją, stać musiałam, a ona wyjmowała szpilki, i wkłuwała je w moje ciało.

Cierpiałem długo, bo myślałem, że się to skończy, ale cóż — pani ciągle zapominała o kupieniu poduszeczki, a mnie męczyła szpilkami.

Raz wieczór, nie wiem, co mi się stało: trzymałam nóż w ręku, ona mnie znów męczyła po swojemu; rzuciłam się na nią i zamordowałam. Wzięli mnie do więzienia i skazali do ciężkich robót.

Gdy pokazywałam moje plecy sądowi, twierdzili doktorzy, że to mnie tak robaki pogryzły... dziwne robaki! a może i prawda“.

Tak zakończyła, a z całej jej mowy i zakończenia wnosić mogłem, iż największą pretensję ma do tych robaków, które ją pogryzły.

Milczałem, przygnębiony tą opowieścią Greni; gdybym nie słyszał z ust wiarogodnych innych, podobnych temu wydarzeń, przypuszczać-bym mógł, że ta, co mi opowiadała tak straszne rzeczy, była warjatką.

A jednak ona warjatką nie była. Mówiło mi to jej szare, aresztanckie ubranie, jej smutna twarz, jej oczy czarne.

Była to jedna z tych istot, które do niedawnych czasów uważano za rzeczy, za dusze — bez duszy.

Milczałem po tej opowieści długo; nie wiem, co Grenia znalazła w moich oczach, bo nagle schwyciła mnie silnie ręką za ramię, i takim jakimś dziwnym wyszeptała głosem:

— Ja kocham ciebie!

Mróz, który przez całą drogę nie dokuczał mi wcale, w tej chwili przeszedł przez wszystkie moje kości,

Po chwili uśmiechnąłem się smutnie.

— I po co? — szepnąłem. — Ja nie do miłości!

— A co mi tam... Ja wiem, że ty nie zbójca, ale kochać umiesz, musisz... kochasz... Te dwie łzy na twoich oczach powiedziały mi to; ja nie chcę wiedzieć, na co nademną ty pierwszy zapłakałeś... tobie oddam wszystko... ale powiedz, jak ty mogłeś się dostać tutaj z nami...

— Ot, tak jakoś się złożyło — odparłem. — Bo i cóż jej tłómaczyć miałem? ona-by tego nie zrozumiała... „Dusze bez duszy“ nie rozumieją rzeczy takich...

Zamilkłem, i odtąd przez całą drogę, w lewe me ucho — przy tej stronie bowiem iść musiała Grenia — opowiadała mi ona o tem, jak mnie kocha, jak bardzo kocha...

Słuchałem tych wyznań w drodze długiej, bardzo długiej, spokojnie, z żalem , ale towarzyszka moja wkradała mi się do duszy coraz więcej.

Na jednym z postojów powiedziano nam, iż mamy w dwóch partjach rozejść się w dwie strony.

Grenia przeznaczoną została do drugiego oddziału.

Wiadomość o tem naszem rozłączeniu przyjęła, jakby rażona gromem.

Wyglądała jak posąg, blada, kamienna.

Po chwili rzuciła się na mnie, jak hyena, i ryczeć poczęła takim straszliwym głosem, że mógł on umarłych budzić.

Nazajutrz mieliśmy się rozstać.

Dnieć poczynało zaledwie; spaliśmy zazwyczaj siedząc przy sobie... o świcie nie spostrzegłem Greni.

Nagle rzuciłem wzrok w kąt drugi — pociemniało mi w oczach: w kącie na haku i sznurku wisiało ciało kobiety.

Było to ciało Greni — „duszy“ bez duszy.

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w nocy czułem na twarzy i rękach muskanie jakieś, niby skrzydeł motyli, niby całusów kochającej.

. . . .

Poszedłem dalej już sam, bez mojej towarzyszki, smutnej i strasznej, która mi dotąd w pamięci stoi.

Powróciłem — a gdy sobie tę drogę przypomnę, zdaje mi się, że to opowiadanie Sheherezady.

A jednak było to faktem, rzeczywistością, prawdą. *Michał Wołowski.*

Teatr w Turcji.

Teatr na wschodzie istnieje od czasów najdawniejszych, ma repertuar bardzo charakterystyczny, aktorów jedynych w swoim rodzaju, a całe urządzenie całkowicie swojskie i godne uwagi. W teatrze, zwłaszcza ludowym, a taki właśnie istnieje na Wschodzie, niezwykle jaskrawie występuje duch i fizjognomja, jeżeli tak się wyrazić wolno, moralna narodu. Narodowy, o ściśle religijnym charakterze teatr w Persji odzwierciedla ogół zupełnie inaczej, niż pierwotny teatr marjonetek tureckich.

Cywilizacja jednak przenika i na Wschód, omdlały w półdrzemce, co odbiło się i na teatrze. I w Turcji, i w Persji, i w Egipcie wszystkie sceny teatralne przenika dążenie do naśladowania Zachodu, tak w kompozycji sztuk teatralnych, jak i w ich wystawianiu. Wielkiemi pod tym względem krokami dąży naprzód Turcja, mniej wykształcona i rowinięta, niż oryginalna w swoich zwyczajach i obyczajach Persja, ale bliższa Zachodu i mniej pogrążona sama w sobie, niż ojczyzna Saadiego i Hafiza.

Ale i Turcja, pomimo, iż nieszczególnie tłumaczone sztuki francuskie Moljera, Sardou i Dumasa przepełniają repertuar; pomimo, iż fabrykanci dramideł całemi masami produkują naśladownictwa dzieł zachodnich, które następnie zazwyczaj bywają drukowane w fejletonach gazet konstantynopolitańskich., — nawet w Turcji nie znajdziecie ani jednej oryginalnej sztuki ludowej, któraby nosiła na sobie cechę czysto literacką w ścisłem tego słowa znaczeniu. Tłum najlepiej bawi się na widowisku ulicznego poliszynela, spotykanego i w Persji, oraz na pospolitych farsach i marjonetkach.

Jestto zresztą zabytek czasów bardzo dawnych, te przedstawienia marjonetek istniały od czasów niepamiętnych, z tą różnicą, iż ongi teatry marjonetkowe dawały wyłącznie sztuki poważne, a były nieodzownym dodatkiem do świąt i uroczystości religijnych. Później w Atenach marjonetki służyły do przedstawiania całych dramatów i tragedji serjo. Po upadku tragedji greckiej weszły w skład bachusowych przedstawień. Z czasem dopiero pozbyły się pierwotnego charakteru religijnego, a z wiekami przybrały charakter zabawki naiwnej i pospolitej. Muzułmanie nie trzymali nigdy marjonetek w charakterze poważnym i wzniosłym. Traktowali je jako zabawkę dla starych i młodych dzieci. Nie mogły zresztą odgrywać roli serjo na uroczystościach ludowych i religijnych, bo wszelkie podobizny człowieka są stanowczo przez Koran z meczetów wyłączone. Satyra za to acz niezbyt sprytna i ostra, stale się teatru marjonetek trzymała; podobno główna postać tych teatrów minjaturowych, poliszynel, ma być karykaturą jednego z wezyrów Saladyna.

Marjonetki tureckie przedstawiać mają, a raczej pragną ludowe zalety i wady, dobre i złe

cechy. Wszyscy ci drewniani bohaterowie są po większej części cynikami, fanfaronami, samochwalcami, tchórzami; każdy z nich ma swoje nieodłączne zalety i wady, z któremi występuje stale na scenie. Poliszynel turecki podobny jest w wielu razach do poliszynela włoskiego, od którego w wiekach średnich zapożyczył niemało cynizmu i humoru niewybrednego: szydzi z małłów i kadich, drwi z sędziów i milicji. Drewniani aktorowie cieszą się w Turcji względną swobodą, nawet polityczna satyra ma tu obszerne do działania pole. W ten sposób teatr marjonetek staje się często mównicą, z której wypowiadane bywają myśli i spostrzeżenia, oddawna tkwiące w duszach słuchaczów.

Charakterystycznym rysem poliszynela tureckiego jest rażące rozpasanie w słowach, a nawet w czynach. Europejczyka, nawet bardzo pobłażliwego, razi wprost poliszynel turecki, sprawia niesmak i obniża wrażenie. Ale turcy patrzą na swego trefnisia w marjonetce zupełnie inaczej. Nietknięte polorem towarzyskim umysły w słowach i czynach drewnianych aktorów nie widzą nic nadzwyczajnego. Poliszynel marjonetkowy największem powodzeniem cieszy się w Turcji europejskiej wśród najniższych warstw ludności, ale niemałe wzięcie ma i w Egipcie.

Prócz marjonetek, istnieją w Turcji odrębne przedstawienia teatralne, t. zw. *tamasza* i *teklid*. Są to słowa arabskie, z których pierwsze oznacza »przedstawienie«, ostatnie »naśladowanie«. Jest to rodzaj krótkich wodewilów, rozgrywanych pomiędzy dwiema lub trzema osobami, nakształt francuskich scen sielskich, w których pierrot i mleczarka pierwsze zajmują miejsca. Sztuki te, a raczej wodewile ludowe, są zazwyczaj bardzo starożytnego pochodzenia, odgrywane bywają na wielkich jarmarkach, wobec tysięcy słuchaczów, a chociaż nie odznaczają się urozmaiceniem, cieszą się niezwykłem powodzeniem na całym muzułmańskim wschodzie.

W ostatnich jednakże czasach wodewile owe zmieniły nieco charakter. Według źródeł historycznych, *tamasza* ongi składała się przeważnie z tańców dosyć swobodnych, z pantomin i piosnek treści miłosnej. *Tamasza* w tej formie, w jakiej ukazuje się obecnie, zjawiła się znacznie później, około XVIII-go wieku, a zmieniła swą treść zasadniczo, przechodziła kolejno od baletu do opery-baletu, od pantomimy do bardzo prostego wodewilu.

Tamasza turecka, biorąc rzecz ściśle, bywa poprostu improwizacją aktorów-klownów, a ztąd wartość sztuki ma charakter przypadkowy, zależny od humoru, dowcipu, sprytu, bystrości grających. Publiczność, bywająca na tych przedstawieniach, wymaga niewiele, fabuła więc bywa tu zazwyczaj pospolita, język nic nie ma z literaturą wspólnego, a o kalamburach nie dałoby się nic pochlebnego powiedzieć.

Sztuki wschodniego pochodzenia, lecz form europejskich pisywał autor, obeznany dobrze z teatrem zachodnim, Fet-Ali Achmud Zade. Urodzony w Karadża-Dag, na południe od Diarbekiru, dramaturg turecki był synem duchownego. Przejęty do głębi wzorami francuskiemi, pisywał dużo i wydał tom swoich prac dramatycznych około roku 1853-go. Wszystkie prawie utwory Fet-Alego przełożone są na język perski.

Do najudatniejszych sztuk Fet-Alego należą: „Wezyr chana z Lenkoranu“ i „Sędziowie“. Są to komedje, pisane z uwzględnieniem wymagań sceny europejskiej, ale zawierające typy tureckie. Szczególniej pierwsza z tych komedji wiernie przedstawia dworskie życie tureckie, intryga w niej zawiązuje się i rozwiązuje gładko, język ma wiele zalet literackich.

Komedje Fet-Alego, tłumaczone na język francuski, wyszły w Paryżu, zaopatrzone w niezbędne dla czytelnika komentarze.

WINCENTY RAPACKI (syn).

Monolog zakochanej.

Już kwadrans do dziewiątej... Czuję jakąś trwogę...
Tam wesoło — tu spocznę. Dziś tańczyć nie [mogę.
Lękam się czegoś... czegoś... sama nie wiem [czego...
Ach ten walc.., jeszcze czuję, jak mi głowa [płonie.

(zamyśla się).

Widzę go, jak po całym szuka mnie salonie,
Jak się wita z mamusią... jak się o mnie pyta,
I smutnie patrzy w koło... Ach cieszę się z tego,
Nie znajdziesz mnie, mój panie... tu będę ukryta...

(pauza).

Nie! pan Adam był pyszny z tą swoją fryzurą
I wąsem wymuskanym. Na wszystkich ponuro
Wzrok rzucał, pełen zimnej pogardy i dumy,
Jakby mówił: »Hej! na bok marnych głupców [tłumy!«
Mało tańczył... bo w tańcu łatwo się przewrócić,
Cóżby się stało z dumą... A ten pan Franciszek,
Co ciągle z gospodarzem chodził na kieliszek
I patrzył z kimby trochę można się pokłócić.
Pan Stefan biedaczysko — gips — skóra i kości,
Z noskiem, co przypominał korek od butelki,
Rękę swoją założył o skraj kamizelki,
I tak trzymał ją ciągle, jakby na temblaku,
I patrzył czy wywiera wrażenie na gości,
Róża zręcznie zatknięta w nowiuteńkim fraku...
I to młodzież... bez ducha... na umyśle chora,
Żeby tam coś wzniosłego było choć w iskierce!
Smutna rzecz, gdy pomyślę... komu oddać serce,
Bo więcej już nie spojrzę... na tego potwora,
Co mi zatruł młodości najpiękniejsze chwile
I cierniami zasypał życia mego drogę.

Mówił, że kocha — Boże! Nie — pojąć nie mogę,
Jak w jednej duszy złego pomieści się tyle.
Gdy mnie widział wesołą.. nazywał okrutną!
Nikczemnik... lekkiej nawet bronił mi pustoty,
»Pani się śmiejesz, a ja umieram z tęsknoty«.
Właśnie będę się śmiała!

(po chwili)

Boże, jak mi smutno!
Tylko nie myślcie, moi państwo — bardzo proszę,
Że ja tę niecną żmiję jeszcze w sercu noszę,
O nie, choćby przebłagać chciał żalem, poprawą,
Zeby tutaj przy wszystkich ukląkł na estradzie
I zawołał — »Litości, panno Stanisławo!«
Będę bez serca — zimna... Mam przykład [z Jadwini,
Ona to mnie ostrzegła o tej strasznej zdradzie...
Zresztą... wiem, że ten potwor tego nie uczyni,
Tylko głosikiem swoim obmierzłym — niemiłym
Powie — »Przebacz mi pani, choć nie zawiniłem!«
Może ja mu kazałam spóźniać się dziś rano?
Przyszedł, kiedy już zupę na stół podawano...
Myślał, że się na niego spojrzę jeszcze może.
Mówiła mi Jadwinia — »Raz pozwól mu tylko,
A potem zdradzać będzie z każdą życia chwilką«,
Bo... on... podobno... zdradza mnie — Mój Boże!
Ja ranek dzisiaj cały terkotałam mamie,
Żeby dobrej na mleku zrobić czekolady,
Wiem że ją bardzo lubi... Nie przeczułam zdrady,
Jednak gdybym wiedziała, że Jadwinia kłamie...
Tobym ją uściskała... Niewinnego winić,
No, to wcale niеładnie. — Radźcież, co mi czynić!
Żal mi go, twarz miał jakoś dziwnie skłopotaną.
Dobrze mu... trzeba było nie spóźniać się rano.
Mama — droga mamusia — prosiła go siedzieć,
On patrzył się wciąż na mnie swojemi oczami...
No, oczy, jego oczy... ładne ma czasami...
Chciał coś mówić — Jam rzekła: »Nie, nic nie [chcę wiedzieć!«
Wstał i po raz ostatni utkwił oczy we mnie,
Które świeciły, jak dwa zapalone lonty,
I szepnął: »Na bal cioci przyjdę o dziesiątej«,
Potem odszedł bez słowa żalu — to nikczemnie...
O niechaj sobie z głowy wybije nadzieję,
Abym kiedy raz w życiu spojrzała na niego.
Jeżelim przyszła na bal... to właśnie dla tego,
Aby mu dowieść, że mnie ni ziębi, ni grzeje.
Gdyby był chwilkę czekał, no, chwileczkę małą,
Byłabym przebaczyła, bo czas wszystko może,
Poszedł i nie przychodzi — o Boże, mój Boże!
Po dziesiątej — czy tylko mu się co nie stało?
Co mi ta Jadzia plotła, to doprawdy dziwne:
»Nie wierz mu, bo ty jesteś dziewczątko naiwne,
A mężczyźni to tyle warci, co szakale«.
Lecz mam powiedzieć prawdę: nie wierzę jej [wcale.
O, nie myślę za mężczyzn stawać do obrony,
Lecz naprzykład pan Roman, co wciąż nadaremno
Mówił tatce, że chętnie żeniłby się ze mną,
Powiada, że kobieta, to szatan wcielony.
Pogodziwszy więc zdanie Jadwini z tym panem,
Wypadałoby wszak mi przyznać to koniecznie,
Że mężczyzna jest djabłem, kobieta szatanem.
No, a świat piekłem pozostałby wiecznie...
Jednak wierzę Jadwini, tak, tak, to niegodnie...
Niech błaga, niech przeklina i niechaj łzy roni,
Nie przemówię słoweczka całe dwa tygodnie,
Wiem, że Jadwinia sobie nie wyssała z palca
Tego, co mówi...
Co to... słyszę... tam ktoś dzwoni?
To on — przed wzrokiem duszy nic się nie [ukryje.
Przyszedł wreszcie! O Boże — jak mi serce bije!
Co to jest, walca grają! Ach ubóstwiam walca,
Mam z nim tańczyć... Nie, nigdy, poprzysięgłam [sobie..
Tu zostanę... On czeka — ha, trudno, cóż zrobię?
Gdyby dziś rano nie uciekł odemnie,
Teraz byłabym przy nim. Bo to tak przyjemnie,
Gdy głowa wsparta na jego ramieniu,
Błąka się w szczęścia krainie i marzy,
By tak jej w życiu było, jak w lubem marzeniu,
I dzięki niesie za sny, któremi nas darzy...
Nie widzisz świata w słodkiem zapomnieniu,
On cię unosi w nieznane ci strony,
I upojenie szle duszy stęsknionej;
Gniewać się wtenczas chciałabym daremnie
I choćby serce me było ze skały,
Przebaczyć muszę. Bo to tak przyjemnie,
Gdy jego ramię słodko cię otoczy,
I nic nie widzisz — tylko jego oczy,
Ale ten widok ma w sobie świat cały,
I coś ci one wróżą potajemnie,
I w duszy smutno, gdy chłód od nich wieje...

(po chwili)

I on, co szczęściem mnie tak wielkiem darzy,
Miałżeby znosić cierpienia odemnie?
Nigdy, przenigdy! Niech się co chce dzieje!...

(pauza)

Zresztą... muszę... zobaczyć, czy cioci do twarzy
W tej nowej sukni. Więc bywajcie zdrowi!
Ale Jadwinia — co Jadwinia powie?

(wybiega).

Żyd - wieczny tułacz.

Salpêtrière'a wystąpiła z nowem sensacyjnem odkryciem. Twórcą oryginalnej idei był, jak zawsze, Charcot, ten umysł, lubujący się w dowcipnych pomysłach, ciekawych zestawieniach, szerokich uogólnieniach. Spoztrzegawcze oko Charcota chwyta interesujący fakt tam, gdzie my widzimy jeno banalne zjawisko. Tysiące chorych żydów przewija się przez nasze ambulatorja lekarskie, nie dając tem powodu do żadnych oryginalniejszych wniosków; Charcot małą zaledwie garstkę obserwował dobrze nam znanych typów a jednak potrafił na podstawie szczupłego

materjału obserwacyjnego oprzeć bardzo ciekawe studjum*).

Kim jest Żyd-Wieczny Tułacz, opisany przez Charcota? Pozwólmy głos zabrać samemu mistrzowi.

„Niema roku, żeby do kliniki nie przywędrowało jakieś indywiduum, nędznie ubrane, o twarzy wychudzonej o głębokich i wyrażających smutek zmarszczkach, o olbrzymiej i nigdy nieczesanej brodzie, w której giną całkowicie kontury twarzy. Tonem żałosnym opowiada historję, pełną bolesnych przygód, i gdyby mu nie przerywać, opowiadałoby ją bez końca.

„Zrodzone daleko, gdzieś w głębi Niemiec naprzykład, od dzieciństwa samego indywidua te cierpią nędzę, i trapi je choroba Opuściły kraj rodzinny, aby znaleść środek na nędzę i na chorobę; nigdzie atoli nie znajdują ani pracy, ani leku dla siebie. Wreszcie, po nieskończonych pieszych wędrówkach, podczas których cierpieli bezgranicznie od deszczów, wiatrów i zimna, w najopłakańszym stanie przybywają do Salpêtrière, która przyciąga ich swoim rozgłosem,

„Wszystkie te indywidua odznaczają się charakterystycznym stanem umysłowym: są opętane przez manję podróżowania z miasta do miasta, z kliniki do kliniki, w celu znalezienia nowego, nigdzie nieznajdowanego lekarstwa. Probują wszelkich możliwych sposobów leczenia, szukają wiecznie czegoś nowego. Niedługo wszakże trzymają się przepisanej kuracji; wyszukują pierwszego lepszego pretekstu, aby ją porzucić; nagle zjawia się popęd do podróżowania, i oto pewnego dnia chory ucieka, wabiony ułudną nadzieją znalezienia zdrowia gdzieindziej, w jakimś innym, dalekim kraju.“

Nieszczęśliwi ci sąto żydzi, żydzi, przybywający nietylko z Niemiec, ale także z Rosji, Węgier, Turcji, Armenji i innych odległych krajów... Wieczni tułacze, wędrujący po świecie, biedni opętańcy są niczem innem, według Charcota, jak tylko prawdziwymi potomkami Ahasvera lub Cartophilusa, aktualnymi wyobrazicielami starożytnej legendy o Żydzie Wiecznym Tułaczu. Le Juif-Errant, stanowi prototyp żydów-neuropatów, wędrujących po świecie — oto jest idea Charcota, której prawdziwości stara się dowieść autor świeżej monografji salpetrièrskiej.

Dwie istnieją legendy o Żydzie-Wiecznym Tułaczu. Według jednej był nim niejaki Cartophilus, odźwierny pretorjum Poncjusza Piłata. Gdy Chrystus zamierzał przestąpić próg drzwi, Cartophilus uderzył go kułakiem i rzekł: „Precz, Jezusie, idźże prędzej! Czemu się zatrzymujesz?“ Chrystus odpowiedział: „Idę. Lecz ty, ty będziesz czekał na drugie moje przyjście; ty będziesz szedł nieustannie.“ I Cartophilus udał się w drogę i odtąd zatrzymać się nie może.

*) Dr. Henry Meige. »Le Juif-Errant a la Salpetriere«. Paris 1893.

Według drugiej legendy owym Żydem Tułaczem jest pewien szewc, narodowości żydowskiej, imieniem Ahasverus.

Człowiek ten, dużego wzrostu i o długich spadających na ramiona włosach, był obecnym śmierci Chrystusa i od tej chwili stał się nieśmiertelnym tułaczem. Obie powyższe legendy pomięszały się z sobę i złożyły na powszechną wiarę w rzeczywiste istnienie nieśmiertelnego żyda, wiecznie tułającego się po świecie...

Wszystkie narody go opiewały. Anglicy złożyli mu hołd w baladzie „The Wandering Jew“, a szwedzi i holendrzy poświęcili mu długie poematy.

Pierwsza opowieść o Zydzie-Tułaczu ukazała się we Francji w 1609 r.

Żyd-Wieczny Tułacz posłużył wreszcie za temat poetom i artystom naszego wieku. (Béranger, Sue, Scribe i St. Georges, Dupont, G. Doré).

Wróćmy do badań Charcota nad Zydem-Wiecznym Tułaczem i jego epigonem—dzisiejszym żydem-neuropatą.

Oba te typy mają dużo podobieństwa do siebie. Podobni są nietylko z usposobienia, ale również z twarzy, z całego wyglądu. Na wszystkich dawnych obrazach i rzeźbach spotykamy zawsze jeden i ten sam typ: długa, zaniedbana i kręcona broda, duży nos, smutny wyraz oczu i boleśnie ściągnięte brwi. „Le Juif Errant des estampes anciennes est bien un vrai Juif-Errant, er c'est le Julif-Errant de la Salpêtrière“—mówi autor monografii.

Czy typ chorego, opisany przez Charcota, wprowadza coś nieznanego do galerji chorych nerwowych?—Bynajmniej. Żyd Tułacz Charcota cierpi na tą samą neurastenię i histerję, na jaką cierpią setki tysięcy ludzi najrozmaitszych narodowości i religij. Jeżeli zaś wydaje nam się innym, to tylko wskutek właściwych mu, silnie wybitnych cech narodowych charakteru, które to cechy różnią go od masy innych, dotkniętych tą samą, co i on chorobą, pacjentów.

Trafne jest tylko zestawienie charakterystyki żyda z legendy z charakterystyką żyda-nędzarza doby dzisiejszej. Mimo setek lat, dzielących ich od siebie, wyglądają, jak rodzeni bracia...

Z ruchu literackiego.

Angelo Mosso. — Znużenie — Przełożył M. Flaum. — Warszawa — 1892.

A. Mosso, profesor fizjologji w Turynie, łączy w swej osobie dwie zalety, nie zawsze z sobą w parze idące — ścisłość naukowego badacza i umiejętność przedstawiania najtrudniejszych za-

gadnień w formie zajmującej, czyniącej je przystępnemi dla każdego czytelnika średnio wykształconego. Pod tym względem można go uważać za godnego współzawodnika Tyndalla, najsławniejszego popularyzatora wiedzy ludzkiej.

Przedmiotem jego dzieł popularnych bywają zwykle zagadnienia z dziedziny psychologji fizjologicznej, nauki, która bada cielesne warunki stanów duszy — myśli, uczuć i woli. Jakoż do tego zakresu wiedzy ludzkiej należą oba jego dzieła, których przyswojenie naszemu piśmiennictwu zawdzięczamy p. Flaumowi. Są niemi: »Strach« i »Znużenie«. Obecnie zajmiemy się tylko tem ostatniem dziełem.

Czem jest znużenie, jako fakt psychiczny, wiadomo każdemu z osobistego doświadczenia. Jestto stan dosyć przykry, należący do tak zwanych czuć wewnętrznych, których przyczyną bywają zmiany, zachodzące w organizmie. Znużenie objawia się pod względem cielesnym, jako powszechna ociężałość i niesprawność w ruchach, pod względem duchowym, jako zobojętnienie, a w ważniejszych wypadkach zniechęcenie do wszystkiego, nawet do życia, doprowadzające nieraz do samobójstwa. Znużenie może także spowodować śmierć nagłą i chorobę umysłową.

Pierwszem zadaniem autora jest wykazanie fizjologicznych warunków znużenia.

Główną przyczyną znużenia jest praca tak fizyczna, jakoteż umysłowa, to znaczy praca mięśni i mózgu, a przedewszystkiem mózgu, który nawet w pracy fizycznej odgrywa główną rolę, pobudzając mięśnie do ruchu i nadając ich ruchowi pewien kierunek. W ten sposób zmiany, które praca wywołuje w mięśniach i mózgu, są fizjologicznemi warunkami znużenia. Na czem polegają te zmiany? Jakiej są one natury? Fizjologja nas uczy, że wszelkiej pracy tak fizycznej jak i umysłowej towarzyszą pewne przemiany organicznej materji, a mianowicie ciała bardziej złożone i niestałe przechodzą w prostsze i względnie stałe. Te ciała stałe i prostsze, nagromadzając się w tkance mięsnej i nerwowej, działają na ich komórki szkodliwie, paraliżując je i zabijając. Wskutek tego mięśnie i mózg stają się niezdolne do wykonywania swych czynności. I ta to właśnie organiczna ich nieudolność do działania stanowi fizjologiczną podstawę czucia wewnętrznego, zwanego znużeniem.

Ponieważ znużenie jest bezpośredniem następstwem zniszczenia organicznej materji, stanowiącej istotę tkanki mięśniowej i nerwowej, przeto nie pierwej może ono ustać, aż nastąpi odnowa tych tkanek. Odnowa ich dokonywa się podczas wypoczynku dzięki obiegowi krwi, przywracającemu równowagę między dezasymilacją a asymilacją. Przedewszystkiem muszą być usunięte z tych tkanek ciała, powstałe w nich drogą przemiany materji i dla nich szkodliwe. Jakoż, krew, dostarczając tkankom organicznym pierwiastków, potrzebnych dla ich odnowy, pochłania zarazem ciała, które przez dezasymilację stały się dla nich obcemi, i przenosi je do narządów bądź wydzielających jak płuca, nerki, bądź przetwarzających, jak wątroba, śledziona. Naturalnie, że materjału dla odnowy tkanek dostarczają pokarmy spożyte i przetrawione.

Drugiem zadaniem, stanowiącem poniekąd główny przedmiot badania włoskiego fizjologa, jest pytanie, jaki zachodzi stosunek między pracą umysłową, a znużeniem.

Codzienna obserwacja uczy nas, że stosunek pracy umysłowej do znużenia bywa różny dla różnych osób. Są ludzie, którzy mogą pracować po kilkanaście godzin dziennie; lecz są i tacy, którzy po kilku godzinach pracy czują się tak dalece znużeni, że muszą ją przerywać i w dłuższym wypoczynku szukać pokrzepienia. Do takich należał mianowicie najznakomitszy przyrodnik naszego czasu, Karol Darwin, który dłużej nad dwie godziny nie mógł pracować i był zmuszony swe zajęcia dzielić na dwa okresy, ranny i popołudniowy.

Do tych samych wypadków dochodzi autor także i drogą doświadczenia, przeprowadzonego nad samym sobą, nad swymi kolegami uniwersyteckimi i słuchaczami. Doświadczenia swe wykonywa on za pomocą obmyślanego przez się przyrządu, który oparty jest na tej zasadzie, że, ponieważ mózg jest głównem źródłem energji czynnej, wywołane w nim znużenie musi oddziaływać i na mięśnie, otrzymujące od niego pobudzenia. W ten sposób mniejsza lub większa wytrwałość mięśni w ruchu po pracy umysłowej, porównana z ich wytrwałością przed ową pracą, daje dokładny wymiar znużenia.

Doświadczenia te wykazują, że stosunek pracy umysłowej do znużenia dla tej samej jednostki przy tych samych warunkach zdrowia, odżywiania się i moralnego usposobienia jest stały i niezmienny, ale różny dla różnych osób, zależnie od pewnych właściwości organizacji wewnętrznej, o których dzisiaj nic pewnego powiedzieć nie można. Bardzo często ludzie wątli okazują się znacznie wytrwalszymi w pracy umysłowej od ludzi silnej budowy, pomimo, że jedni i drudzy są zarówno nawykli do zajęć naukowych i literackich.

Taka jest treść dzieła A. Mosso.

Dodać należy, że autor w swych zapatrywaniach, wychodzi ze stanowiska współczesnej psychologji, która nie jest ani materjalistyczną, ani spirytualistyczną. Kwestję metafizyczną, dotyczącą istoty duszy i ciała, pozostawia on na uboczu. Badając zjawiska duchowe i cielesne, jedynie dostępne naszemu poznaniu, widzi on w nich współrzędne objawy życia, wzajemnie od siebie zależne i oddziaływające na siebie pomimo całej różnicy, jaka między niemi zachodzi.

Władysław Kozłowski.